Styczeń 1935

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XLII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYNSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

Biblioteka Jagiellońska
1002357420

TRYBUNA POLSKIEJ MYSLI PAŃSTWOWEJ

TOM XLII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 6, TELEFON 9-27-6

102894
II
1935, 42-44

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.

3897-35/36

TREŚĆ:

PRZEGLĄD POLSKO-WĘGIERSKI:

Zarząd Dóbr i Zakłady Przemysłowe

ROMANA ŻUROWSKIEGO

poczta LESZCZKÓW

woj. lwowskie

POLECA:

WYTWORNE MATERJAŁY CZYSTO WEŁNIANE NA UBRANIA, KOSTJUMY I PŁASZCZE

SAMODZIAŁY LESZCZKOWSKIE

SZEWIOTY,

LODENY NIEPRZEMAKALNE,

SUKNO NA BURKI PODRÓŻNE,

KURTKI I PŁASZCZE,

GOTOWE BURKI,

KURTKI,

PŁASZCZE MYŚLIWSKIE,

KOCE, DERY, PLEDY.

Sprzedaż pojedyncza wprost z fabryki.

PRÓBKI I CENNIKI NA ŻYCZENIE.

WALKA DUCHA Z MATERJĄ.

UWAGI PRAKTYCZNE.

Panujący kryzys — gospodarczy, ustrojowy, społeczny, moralny, kulturalny, towarzyski i t. d. — który tak srodze wszystko i wszystkich przygniata i wprost miażdży (poza nieliczną garścią pływających na nim wyjątków) — stanowi jednak ciekawą dla ludzkości szkołę. Wydaje się przy głębszej refleksji, jakoby istotnie jakaś wszechpotężna, nadrzędna ręka zniewalała myśl ludzką do nawrotu z fałszywej, zgubnej drogi, na którą ta myśl w pogoni za doraźnym interesem materjalnym zabrnęła.

Coraz też liczniejsze odzywają się głosy, konstatujące niezaprzeczalny fakt, że zbiedzona, zmasakrowana ciężkiemi doświadczeniami i rozczarowana w materjalistycznym rozpędzie myśl ludzka nawraca z tej drogi i szuka ratunku w sferze idei, do niedawna zlekceważonej, wzgardzonej i wyśmianej, jako coś zbyt „mało realnego“, zbyt mało „konkretnego“ dla nowoczesnego trzeźwego człowieka interesu — politycznego lub gospodarczego. A rzecz dziwna — głosy za tym nawrotem podnoszą się przedewszystkiem ze sfer gospodarczych, z tych sfer, które do niedawna o żadnych innych sprawach, oprócz o doraźnym businessie, nawet słyszeć nie chciały. Raz po raz słyszymy takie enuncjacje w idealistycznym kierunku na zebraniach, w rozmowach prywatnych i w prasie, wygłaszane względnie podpisywane przez ekonomistów, przemysłowców i komercjalistów.

Aż zdumienie ogarnia słuchacza czy czytelnika wobec tego rewizyjnego prądu — bo faktycznie już o prądzie można dzisiaj mówić — wychodzącego z ust i piór ludzi, po których do niedawna nikt czegoś podobnego nie

mógłby się spodziewać. Fachowi ekonomiści, a nawet kierownicy przedsiębiorstw gospodarczych, którzy wczoraj jeszcze mówili tylko o wekslu, kredycie, kalkulacji cen, funcie i dolarze — i zdawałoby się, że o niczem innem nie chcą i nie są w stanie mówić i do niczego innego wagi nie przywiązują — przeistaczają się nagle w myślicieli, pisarzy, filozofów, wyznawców idei... Chwytając za pióro, kreślą w gorących słowach, nieraz pięknym stylem literackim, potrzebę zwrócenia się do świata idei, celem wybrnięcia z kryzysu, stwierdzają konieczność zwycięstwa ducha nad światem materji, który przyniósł wszystkim tylko kolosalne rozczarowanie.

Rewolucja ta, prawdziwa rewolucja w umysłach „trzeźwego interesu", nie jest pozbawiona nawet pewnych momentów komizmu. Skonstatować to ma sposobność każdy działacz - ideowiec, którego słowa, apele i inne usiłowania rozbijały się do niedawna o stalowy mur lekceważenia ze strony „realnych" polityków, wyznających tylko bieżące aktualja i „trzeźwych" ludzi gospodarczych, uznających tylko „konkretne" interesy dnia. Ileż to razy usiłował daremnie taki działacz - ideowiec w kompanji takich ludzi tłumaczyć im najrealniejszą konieczność głębszej refleksji, szerszego programu działania i pewnego wyższego punktu widzenia w każdej pracy, a zwłaszcza publicznej, właśnie dla tem lepszego skoordynowania i rezultatu pracy codziennej. Ironiczny uśmiech i lekceważące machnięcie ręką były jedyną odpowiedzią. Dzisiaj wprost przeciwnie: ekonomiści, politycy, przemysłowcy, kupcy i finansiści występują przeciw materjalizmowi, przeciw realistycznym założeniom, licytując się w enuncjacjach ideowych i „pouczając" ideowców, że jednak ciągle tylko o złotym cielcu i o aktualjach polityczno-gospodarczych myśleć nie wolno, że trzeba zwrócić się na tory ducha i t. d. i t. d.!

My, ideowcy, przyjmując te „rewelacje" i pouczania

w pokorze ducha, — jednak nie bez lekkiego, mimowolnego uśmiechu — stwierdzić możemy tylko, że według starego przysłowia przyszła kreska na Matyska! Twardą szkołę daje pp. realistom, aktualistom i „konkrecistom“ obecny kryzys, a raczej załamanie się i widoczny upadek tego wszystkiego, co dotąd jedynie wyznawali i czcili — czem żyli. Zabawny to widok aktualisty-polityka z wypłowiałą kartką wyborczą w ręku, lub człowieka interesu z protestowanym wekslem, czy nakazem egzekucyjnym, szukającego na gwałt ratunku w świecie idei!

Gdzież wasze emocjonujące, sensacyjne aktualja „bieżącej sytuacji politycznej“? Gdzież wasze nadzieje i rachuby partyjne, czy orjentacyjne? Gdzież wasze nadlewiatany, kartele, szumne narady „wybitnych przedstawicieli życia gospodarczego“? Gdzież wasze Kemmerery, Deweye, Hoovery, Roosvelty i inni Mesjasze odrodzenia gospodarczego? Gdzież wreszcie wasze Paneuropy, kombinacje naddunajskie, efemeryczne sensacje genewskie i te wszystkie niezliczone pakty wszelkiego rodzaju, tak gorączkowo ogłaszane i komentowane po gazetach, które musiały wypiętrzyć w kancelarjach dyplomatycznych już istne stosy makulatury, a żadnego innego nie wydały rezultatu w polityce i gospodarce, jak tylko coraz większe zbrojenia na lądzie, morzu i w powietrzu, coraz cięższe na nie świadczenia podatkowe, coraz wyższe barjery celne i coraz wstrętniejsze utrudnienia paszportowe?

Co wam przyszło z tych wszystkich rzeczy „realnych“ i „konkretnych“, panowie aktualiści?! Co przyszło z tego przedewszystkiem zbiedzonemu, rozczarowanemu, zniechęconemu społeczeństwu? Co przyszło zubożałym warstwom ludu, które dziś w błogosławionej konsekwencji tych wszystkich waszych „realjów“ strugać muszą zapałkę na czworo, aby oszczędzać na każdem pudełku?

Teraz nawracacie oczywiście do idei. Nieco późno, bo drogo nas wasz dotychczasowy rozpęd kosztował. Ale

przyznajemy chętnie, że lepiej późno, niż nigdy. Uznajemy więc ten zwrot, oceniamy go w całej pełni, rozumiemy waszą skruchę, ale nie wolno wam już teraz przerywać nam programowych wywodów cynicznem, lekkomyślnem twierdzeniem, że to nierealne, niedość konkretne! Bo na to możemy dziś już dać całkiem „konkretną" ripostę, wszechstronnie wyargumentowaną, że wy to właśnie byliście zgoła fantaści w mniemaniu, iż bryła bez ducha, że złoto bez idei, że praca bez programu, może wydać korzystne rezultaty.

Ale nie mam tu obecnie wcale zamiaru licytować się z niedawnymi skrajnymi realistami, przepoczwarczonymi dziś nagle — z potrzeby — na prozelitów idealizmu, we wzniosłych frazesach. Przeciwnie, teraz ja pozwalam sobie ściągnąć tych świeżo kreowanych podniebnych żeglarzy na ziemię, na twardą ziemię, w imię zawsze wyznawanej zasady, że niemasz nic realniejszego, nic konkretniejszego od idei. Stojąc więc mocną stopą na ziemi i nie patrząc w obłoki, pytam: co to jest w praktycznem ujęciu ta idea, ten wzlot ducha, który ma was wyrwać z materjalistycznego bagna i chaosu?

Jest to oczywiście najpierw pewien kompleks zasad religijnych i kulturalnych, którym zbyt dotąd pomiatano, przekładając mamonę nad Boga, a poziomy geszeft polityczny lub gospodarczy nad wszelkie wyższe, nadrzędne momenty. Ale to już dzisiaj coraz więcej ludzi rozumie, tych zwłaszcza, którzy dotkliwe od losu dostali cięgi. Gdy trwoga, to do Boga! — To łatwo każdy pojmuje. Nie udał się interes polityczny lub gospodarczy, więc do kościoła!

Ale zwrot w kierunku ducha, idei, znaczy coś innego jeszcze, niż szukanie Boga, niż „uchrześcijanienie" bankrutującego materjalizmu i opartego na nim karjerowiczostwa. Co sprowadza z sobą w pracy ludzkiej wejście na tory idei? Sprowadza **program.**

Aktualista resp. realista, to człowiek, który w grun-

cie rzeczy pracuje bez programu, wytyczonego jasno na nieco dalszą metę, a natomiast chwyta się tylko bieżących, efemerycznych okazji i konjunktur. To też prawdziwi realiści zazwyczaj nic trwałego nie są w stanie stworzyć, a wielu z tych, którzy coś doniosłego stworzyli, całkiem niesłusznie mianuje się realistami. To właśnie byli ideowcy, którym wielka myśl programowa przyświecała, ale którą potrafili także konsekwentnie doprowadzić do skutku.

Nazywają np. historycy Cavoura wielkim realistą, gdyż wiedział, do czego dąży i zawsze konkretne umiał wyzyskać warunki. Nic błędniejszego! Bo czyż program zjednoczenia Włoch, program Wielkiej Italji, nie był wielką, programową ideą? Czyż w początkach swych nie wydawał się wielu fantazją? Czyż myśleli o nim na serjo ówcześni aktualiści - polityccy i ludzie doraźnego interesu? Z pewnością nie, choć ta idea nad całemi Włochami niby się unosiła. Na serjo natomiast ujęli ją i zrealizowali stopniowo właśnie ideowi politycy, pisarze i bojowcy. Realiści, goniący za aktualnym interesem dnia, bez dalszego planu i programu, bez idei i bez pewnej niezbędnej dla jej urzeczywistnienia fantazji, nie byliby nic dla wielkiej sprawy zrobili.

Odnosi się to do wszelkich dziedzin życia, a zwłaszcza życia publicznego — a więc państwowego, gospodarczego, społecznego. Bez przewodniej idei, bez planu i programu nic pożytecznego człowiek nie stworzy. A sedno kryzysu leży dzisiaj w tem, że zarówno stronnictwa polityczne, jak i sfery gospodarcze nie chciały i nie chcą słyszeć o żadnym programie, którego się nawet boją, ale sądzą w dziwnem zaślepieniu, że wiedeńską metodą „des Fortwurstelns“ — w polskiem tłumaczeniu: „metodą zdrowego oportunizmu“ — można pokonać katastrofę powszechnego kryzysu i wyprowadzić politykę i gospodarkę na racjonalne tory.

To właśnie jest fikcją. Jasny, wyraźny program dzia-

łania, a przynajmniej jasno określone zadania musi mieć każdy człowiek i każda zbiorowość polityczna lub gospodrcza. Nie potrzebuje to być program pisany, podzielony na punkty i paragrafy — taki program sztywny jest nawet najczęściej zawadą, albo martwą literą. Ale musi być taki program żywy i wyraźny, wytyczający drogi i cele, żeby człowiek jasno wiedział i mówił, czego chce, dokąd **na dalszą metę** dąży. Bo właśnie myśl programowa przynosi ze sobą refleksję, koordynuje szczegóły pracy i zabezpiecza w bardzo znacznym stopniu przed fluktuacjami i ciosami konjunktur, zaostrzając w człowieku zmysł trzeźdej krytyki i przewidywania. Człowiek bez programu jest jak łódź bez steru — i rzecz dziwna, niepojęta, że ludziom dzisiejszej doby tak proste rzeczy trzeba powtarzać!

A niestety, tak jest, a przynajmniej tak było powszechnie do niedawna. Stwierdzić można zwłaszcza fakt niesamowity, że szczególnie elita polskiego intelektu społecznego wyparła się wszelkiej myśli programowej i rzuciła się nieprzytomnie, z karygodnym oportunizmem na fale konjunktur. A front ten bezideowości, bezprogramowości, rzec można: anarchji w pracy, jest tak silny, tak uparcie zakorzeniony w wyższych sferach społeczeństwa polskiego, że i dziś jeszcze, mimo tak dotkliwej nauki rzeczywistości, ogółowi nie otwarły się oczy i wciąż słychać jeszcze naiwne, zaściankowe tezy, że konkretne „chodzenie za pługiem“ lub niemniej konkretne „warowanie przy warsztacie“ jest najpewniejszym, jedynym środkiem ratunku dla ziemiaństwa i sfer gospodarczych wogóle.

I tu właśnie wchodzimy na teren najpraktyczniejszego zwaloryzowania idei na arenie pracy publicznej. Wielcy realiści wśród ziemian, przemysłowców i innych sfer gospodarczych, trzymając się kurczowo powyższych dwuch zasad, odgradzają się stanowczo od czynniejszej roli zbiorowej w życiu publicznem, nazywając je krótko, lekceważąco „polityką“, z którą — poza dyskusjami przy partji

brydża — nie chcą mieć nic do czynienia. A więc, mówiąc konkretnym i realnym językiem, chcą mieć przywilej, bardzo poziomy przywilej wyłącznego zajmowania się swymi prywatnymi interesami, a ojczyznę, państwo, wszelakie zadania publiczne i stosunki gospodarcze, a zwłaszcza podatkowe, niech za nich „ktoś inny“ zrobi i najwygodniej dla nich urządzi. Szlachcic niech chodzi za pługiem, a mieszczanin niech pilnuje warsztatu — oto arcywygodny, skrajnie materjalistyczny, bezprogramowy i właśnie dlatego samobójczy światopogląd, któremu dzisiaj dziewięćdziesiąt pięć procent odnośnych sfer naszych jeszcze hołduje. Tu właśnie najbardziej przebija w praktyce kompletny brak ducha i idei, bo gdyby sfery te chciały na serjo wznieść się na nieco wyższy poziom ideowy i szukać naprawdę w dziedzinie ducha ratunku przed miażdżącym kryzysem, to zrozumiałyby przedewszystkiem, że w XX-ym wieku żadnemu inteligetnemu człowiekowi — pod sankcją zagłady swej warstwy — nie wolno oddawać się eksklużywnie tylko interesom osobistym, ale musi pewną część swej pracy i zainteresowaniu poświęcić z konieczności pewnej ogólnej, planowej pracy zbiorowej. Inaczej warunki pracy i bytu zacznie mu kształtować ów „ktoś inny“ w jego nieobecności. A ponieważ nieobecni nigdy racji nie mają, więc też ci „inni“ ukształtują mu takie warunki egzystencji, że stopniowo wyrzucą go poza nawias społeczeństwa.

I słusznie, a przynajmniej logicznie. Bo jakże wymagać od sfer, dla ogólnej sprawy publicznej pracujących, aby wyciągały kasztany z pieca dla tych, którzy publiczną sprawą zająć się nie chcą, oddając się egoistycznie tylko swej zawodowej pracy zarobkowej! Rezultat tego stanu rzeczy może być oczywiście tylko ten, że owi „chodzący za pługiem“ i „warujący przy warsztacie“ uzyskują w istocie jeden tylko przywilej, co prawda niezbyt miły: płacenia coraz większych podatków!

Znowu słusznie. Kto stroni od czynnego udziału w jakiejś zbiorowości, niech przynajmniej płaci. Wszak jest to generalna dewiza wszystkich, nawet prywatnych, ciał zbiorowych. W każdem stowarzyszeniu rozróżnia zarząd sprytnie członków aktywnych, którzy stosunkowo mniejsze płacą wkładki, ale zato dają swą pracę i są duszą związku, oraz nieczynnych, figurantów, od których jednak za ich wygodne far niente wymaga się, aby przynajmniej wysokie wkładki płacili. Nieprawda? Tak przecież jest wszędzie!

Tak jest i tak musi być w logice rzeczy także i w państwie. Figuranci w wielkiem państwowem zrzeszeniu, zajęci tylko sobą, a stroniący od zbiorowego działania, od życia „politycznego" — oczywiście nie w bezmyślnie partyjnem, ale w szerokiem tego słowa znaczeniu, gdyż ślepe partyjnictwo przeszkadza pozytywnej pracy politycznej — niech przynajmniej płacą podatki! A jeżeli płacą ich za dużo, ponad możność, jeżeli warsztaty ich kruszeją i krzywda ich spotyka, to własna ich wina! Dlaczego tkwią bezplanowo wciąż tylko za pługiem, albo ślęczą w kantorze, czy nad warsztatem, a brak ich tam, gdzie rozstrzygają się losy kraju i ich własne?

Ale niech kto dziś sprobuje pociągnąć do zbiorowej, publicznej(nie wąsko zawodowej), programowej, z konieczności więc nieco ideowej pracy szersze sfery polskiego intelektu! Spotka się z miejsca najczęściej z niezrozumieniem, lekceważeniem i nastawieniem skrajnie materjalistycznem. I dlatego, właśnie dlatego nadmierny ciężar świadczeń miażdży sferę ziemiańską i inne sfery gospodarcze. Organizm państwowy, jak każdy organizm, potrzebuje elementów ożywczych, które mu coś dają, a odrzuca zbędne. Nieprawdą jest, że ten, kto wyprodukuje i sprzeda parę butów lub korzec owsa, spełnia tem samem już całkowicie swój państwowy obowiązek. To wystarczało może w średniowieczu, ale dziś absolutnie już nie

wystarcza. Dzisiejszy skomplikowany organizm państwowy wymaga znacznie więcej od obywatela: powszechnej służby wojskowej, powszechnego płacenia świadczeń i — co jednak wielu nie rozumie, bo trudno ująć to ustawą — powszechnego czynnego udziału w pracy publicznej, nie przez pośredników, posłów i t. p., ale osobiście.

Która warstwa społeczna czy zawodowa tę wielką prawdę zrozumie i odpowiednią wykaże aktywność, ta nie zginie, mimo wszelkich chwilowych trudności. Jej rola będzie bowiem państwu **zawsze potrzebna** i taka aktywna warstwa będzie też w możności zdobycia sobie korzystnych dla swej egzystencji warunków. Warstwa zaś, która tego nie zrozumie i w poziomym zakopie się materjaliźmie, myśląc i żyjąc tylko od jednej raty wekslowej czy podatkowej do drugiej, z dnia na dzień, od geszeftu do geszeftu, ta warstwa zginąć musi, bo **rola jej staje się mimowoli pasorzytnicza w organiźmie państwowym.**

Zrozumienie przez każdego człowieka, przez każdą warstwę społeczną czy zawodową konieczności odgrywania w obecnych, nowoczesnych warunkach odpowiedniej wyższej, konstruktywnej, a więc ideowej roli w organiźmie państwowym i społecznym, jest więc właśnie praktycznem urzeczywistnieniem tej tendencji do świata idei, tego zwrotu ku pierwiastkom duchowym, o czem tak pięknie i gorąco prawi dzisiaj i pisze wielu. Ale nie wystarczy teoretyzować w wolnych chwilach, między jednym interesem a drugim. Trzeba zrobić!

Trzeba wiedzieć, że duch wprawdzie tchnie, gdzie chce, ale tembardziej wymaga nie napuszonych deklamacji literackich, ale zdecydowanego obywatelskiego czynu. A kto upiera się dalej, by chodzić bezideowo za pługiem lub bezmyślnie sterczeć nad warsztatem, ten doczeka się tylko tęgo, że mu pług w kawałki się rozleci, a warsztat egzekutor podatkowy zasekwestruje.

Zorganizować muszą się silnie sfery gospodarcze, a zwłaszcza stan ziemiański i wziąć bardzo czynny udział zbiorowy, masowy, w życiu publicznem — jeżeli chcą wyjść ostatecznie jako tako obronną ręką z obecnej katastrofy. Ale rzecz cała w tem, że nie wystarcza powierzyć w tym względzie mandatu do działania jakimś „wybitnym“ przedstawicielom swej sfery i spuszczając się na nich całkowicie, jak to zwykle bywa, wkładając im na barki cały ciężar reprezentacij danego stanu czy zawodu, oddawać się pozatem stuprocentowo swym prywatnym interesom.

Tak sprawa nie pójdzie naprzód. Ciężkie obecne czasy wymagają zrzeszonego zainteresowania i współdziałania w sprawach publicznych ze strony życia gospodarczego. Obecność jednego lub drugiego posła w sejmie z danej sfery absolutnie nie wystarcza. Nie wystarcza także wydelegowanie pojedyńczego przedstawiciela do jakiejś organizacji, np. ziemiańskiej. To jest prawie tyle, co nic — jeżeli pozatem widać wśród ogółu wyraźną niechęć do udziału w sprawach publicznych. Samobójczem dla danej warstwy jest często słyszane zdanie: „Nie mogę brać udziału osobiście w życiu politycznem lub społecznem, bo brak mi czasu, bo przecież na pierwszem miesjcu muszę walczyć o chleb powszedni!“ Właśnie dlatego, że ogół intelektu gospodarczego tak myśli i tak kalkuluje, jest coraz gorzej. Właśnie za takie poglądy cierpi dzisiaj przedewszystkiem stan ziemiański. Bo z całą pewnością nie ciążyłby nad tym historycznym stanem aż tak dalece kryzys gospodarczy, nie ciążyłoby aż tak dalece ustawodawstwo fiskalne, gdyby ten stan, w należytem poczuciu swej roli, wyszedł był swego czasu ze swych większych lub mniejszych zaścianków i **pewien procent** swego czasu, swych środków, swej energji i swego intelektu rzucił był **zbiorowo** na szalę życia publicznego, tak, żeby każdy w naszem państwie rozumiał, że z tym stanem liczyć się musi.

Nie może mi wyjść z pamięci obraz tego znajomego,

zamożnego ziemianina, szanowanego w swym okręgu, pełnego sił i zdrowia — którego spotkałem kilka lat temu w pociągu. Wracał na wieś z kosztownym zakupem z miasta: aparatem kinema-fotograficznym, na który spory szereg setek wyłożył i bardzo się nim entuzjazmował. Na moje zapytanie, jaką gazetę czyta i czy bierze udział w jakiejkolwiek akcji obywatelskiej przynamniej w swym okręgu, machnął ręką z lekceważeniem i oświadczył, że to nie warto, bo i tak „ziemiaństwo na dziady schodzi“. A potem roztoczył żale nad ceną zboża i egzekucją podatków.

Zapewne......

Jan Bobrzyński.

QUO VADIS, SŁOWACZYZNO?

ODPOWIEDŹ SŁOWAKA NA ARTYKUŁ D-RA JÓZEFA GOŁĄBKA: „ŻYCIE POLITYCZNE SŁOWAKÓW".

W numerze z listopada 1934 r. został opublikowany w Naszej Przyszłości artykuł, podpisany nazwiskiem dra Józefa Gołąbka, o kwestji słowackiej. Artykuł ten pisany był, jako potwierdzenie tezy, że Słowacy, pomimo, że nie są zadowoleni z panowania czeskiego, chcą wytrwać przy Czechach i nawet słyszeć nie chcą o powrocie do Węgier. Proszę pozwolić mnie, jako człowiekowi, który reprezentował naród słowacki przed wojną w parlamencie węgierskim, po wojnie w parlamencie w Pradze, a obecnie, jako prezesowi Rady Słowackiej, utworzonej w Genewie, dodać kilka uwag do tego artykułu. Czynię to, jako partjota słowacki i polityk, oraz jako profesor katolickiej moralnej teologji i socjologji, gdyż oba te przedmioty wykładałem przez sześć lat na uniwersytecie warszawskim.

Sz. Redakcja do artykułu p. Gołąbka dołącza swe uwagi. Czytam tam, między innemi, że „My, ludzie z pod znaku „Naszej Przyszłości", zastanawiamy się sine ira et studio zawsze tylko nad tem, co jest lub może być dobrem i zdrowem dla interesów Polski".

Nie chcę tutaj zastanawiać się nad pytaniem, co byłoby bardziej pożądane dla interesu i dobra Polski, czy gdy Słowacja zostałaby przy Czechach, o których już polski kronikarz Gallus pisał, że „Bohemi sunt Polonorum infestissimi inimici", czy też , gdyby wróciła pod panowanie Węgrów, o których sam p. Redaktor pisze, że w czasach historycznych żyli zawsze w przyjaźni z narodem polskim i pomagali mu podczas inwazji bolszewickiej? Na pytanie to mogą więc lepiej ode mnie odpowiedzieć sami bracia Po-

lacy. Ja wiem tylko tyle, że w interesie Polski leży dowiedzienie się **czystej prawdy** o kwestji słowackiej, a nie zadawalać się informacjami, inspirowanemi z Pragi.

Taki jeden artykuł, jak p. Gołąbka, nie wystarcza, by rozstrzygnąć sprawę, czy Słowacy chcą zostać przy Czechach, czy też pragną pogodzić się z Węgrami i powrócić do Węgrów, w których granicach żyli przez lat 1000. Jedynie **plebiscyt** może być powołany do merytorycznego rozstrzygnięcia tej kwestji. I gdy paryskie traktaty pokojowe zmusiły Polskę do wywalczenia sobie każdego kawałka ziemi w drodze uciążliwych i kosztownych plebiscytów, to dyktatorzy pokoju oddali Czechom bez plebiscytu całą Słowaczyznę i Ruś Podkarpacką. Słowacy podkreślają zawsze, że uważają się za zupełnie odrębny od Czechów naród suwerenny, który ma prawo samostanowienia o sobie. My, Słowacy, zawsze upominamy się o to prawo, którego pozbawiły nas intrygi czeskiej dyplomacji (mafji) i gdy je wreszcie wywalczymy, wówczas pokaże się, przy kim chcieliby stanąć Słowacy.

Charakterystycznem jest w każdym razie, że właśnie Czesi, którzy stale głoszą, że to oni „oswobodzili“ Słowaków i że ci szczęśliwi są w związku z państwem czeskiem, ci Czesi niczego tak się nie boją, jak plebiscytu słowackiego. A tymczasem ci Węgrzy, o których „tysiącletnim“ ucisku ciągle się mówi, żądają dla Słowaków prawa samostanowienia o sobie w formie plebiscytu. Hr. Albert Apponyi, delegat węgierski na konferencję pokojową w Paryżu, powiedział:

„Au nom du grand principe, qui a été si bien formulê par M. le Président Wilson, à savoir: qu‘aucune masse d‘hommes, aucune population, ne devait être trasférée d‘un Etat a un autre sans être consultée, comme s‘il s‘agissait d‘un troupeau de bétail sans volonté, au nom de ce grand principe nous demandons, nous réclamons pour les parties de notre pays qu‘on voudrait détacher de lui, le plébiscite,

et je déclare que nous nous soumettons d'avance aux résultats de ce plébiscite, quel qu'il soit. (Exposé verbal du Comte Albert Apponyi, Président de la délégation hongroise à la conférence de la paix, présenté au Conseil Suprème dans la séance du janvier 1920 à Paris).

(W imię tej wielkiej zasady, tak świetnie ujętej przez p. prezydenta Wilsona, że żadna grupa ludzi, żaden naród nie powinien być przenoszony z państwa do państwa bez jego zgody, jak to czyni się ze stadem bezwolnego bydła, w imię tej wielkiej zasady prosimy, upominamy się o plebiscyt dla części naszego kraju, obecnie od niego odłączonych i zgóry już oświadczamy, że podporządkujemy się temu plebiscytowi, jakimkolwiek on będzie).

Słowacja przez tysiąc lat należała do państwa węgierskiego, Węgrzy więc mogą powoływać się na **prawo dziejowe,** a tymczasem, jak widzimy z oświadczenia hr. Apponyi'ego, na którego stanowisku stoją i obecnie rząd i naród węgierski, Węgrzy gotowi są zrzec się tego prawa historycznego, o ile Słowacy w drodze plebiscytu wypowiedzią się i oświadczą, że chcą ostatecznie zerwać z Węgrami i pragną żyć z Czechami w jednem państwie. Jakaż doskonała okazja dla Czechów! Dlaczego więc nie chwycą tej okazji, oni, którzy tak boją się rewizji i tak drżą o swoje dzisiejsze granice? Dlaczego nie godzą się na plebiscyt, gdy bez wyciągnięcia szabli z pochwy mogliby wreszcie posiąść Słowację, aby potem móc się spokojnie rozbroić? Jedna może być tylko przyczyna tej obawy przed plebiscytem, że mianowicie Czesi wiedzą o tem, iż plebiscyt wypadłby **na ich niekorzyść.**

I rzeczywiście prezydent Masaryk powtarza nieraz: **„Nie możemy dać Słowakom autonomji, gdyż wówczas oderwą się od nas i powrócą do Węgier".** (Berliner Tageblatt, 26. VII. 1930).

Naczelny organ ministra Benesza „Ceske Slovo" pisał: **„Nie możemy wierzyć Słowakom. Ich jedynem marzeniem**

jest rozbić naszą republikę i powrócić do Węgrów". (Slovak, 26. II. 1929).

Wielki pisarz polityczny Czechów, Karol Kâlal, mówi: „Wszyscy Słowacy są separatystami". (Rzut oka na duszę Słowacką, 16).

Wawrzyniec Srobar, renegat słowacki, uczeń Masaryka, którego zrobiono ministrem, pisze, że: „naród Słowacki z całej duszy nienawidzi Czechów". (Prudy, 1927, 205). To samo mówił drugi wielki przyjaciel Czechów — Słowak, dr. M. Ivanka, podczas procesu profesora Tuki. Jedno z poważnych czasopism czeskich „Nova Doba" pisało niedawno, że hasłem Hlinki, Buday'a i wszystkich Słowaków jest: „Wypędźmy Czechów!" (lipiec 1934 r.). Poeci czescy Deml i O. Brezina, chcąc zapoznać się z uczuciami i sposobami myślenia Słowaków, przewędrowali całą Słowaczyznę, a potem zameldowali w Pradze: „Słowacy nienawidzą nas. Będą oni nietylko wypędzać Czechów, ale i wieszać ich". (Slovak, 31. VI. 1931 r.).

A co mówią sami Słowacy?

Antoni Kompanek pisał w dzienniku Razusa (Narodnie Noviny, 25. VII. 1931 r.): „Wszyscy Słowacy, **bez względu na partję,** pałają nienawiścią w stosunku do Czechów, ci nawet, którzy otrzymali od Czechów urzędy i którzy wychwalają ich podczas okazji świąt urzędowych". (Nar. Noviny, 25. VII. 1931 r.).

W „Slovensky'm Denik'u", organie partji agrarnej, czytamy: „Dzisiaj dusza naszego narodu słowackiego, a zwłaszcza młodzieży, przepełniona jest nienawiścią do Czechów".

A Hlinka? On zwykł mówić, że: **„Czesi są wrogami Słowaków i robią politykę czesko-niemiecką".** On jest tym, który głosi, że Słowacy nie są Czechami, że naród czesko-słowacki to humbug i że przez to państwo czesko-słowackie nie ma podstawy prawnej. A właśnie tytułem tego **prawa,** że „Słowacy są Czechami" i że Słowacja jest ziemią cze-

ską, Czesi żądali w Paryżu Słowaczyzny i otrzymali ją. I dlatego Czesi uznali za zdradę kraju to sławne wystąpienie w Nitrze, o czem pisze londyński Times:

„Ceske Slovo, which is counted as the organ of dr. Benesh, says that Father Hlinka and his friends are playing a dreadful game; what they did at Nitra was through — going high treason. **Vecer,** a newsypaper which has relations with the Prime Minister, describes Father Hlinka's conduct as a severe blow to the unity of the Republic, which was intended to be the keynote of the Nitra festival". (19. VIII. 1933 r.).

(„Ceske Slovo, które uważane jest za organ dr. Benesza, pisze, że ks. Hlinka i jego przyjaciele grali paskudną grę; to, co oni zrobili w Nitrze, przechodzi najwyższą zdradę stanu. Dziennik **„Vecer"**, mający stosunki z premjerem, opisuje zachowanie się ks. Hlinki, jako ostry cios, zadany unji z republiką, i miał być on tonem przewodnim całego festiwalu w Nitrze").

Gdy lord Rothermere rozpoczął wielką propagandę za rewizją granic węgierskich, Hlinka wystąpił przeciw niemu coprawda, ale dziennik jego zdradził, że zmuszono go tego ze strony czeskiej. (Slovak, 23. IV. 1933 r.).

Jak wiadomo, Słowacy, znajdujący się na emigracji, założyli w Genewie w roku 1933 „Radę Słowacką", która żąda plebiscytu dla Słowaków, domaga się przyśpieszenia rewizji i oświadcza, że miejsce Słowaków jest w granicach państwa węgierskiego, gdyż **bez Węgier nie mogą żyć** i skazani są na zagładę nietylko narodową i moralną, ale również i fizyczną. Na to rząd czeski zastosował represję do obydwóch partji słowackich (Hlinki, Razusa), żądając wydania oświadczenia, wypierającego się dr. Jehliczki i Rady Słowackiej. Lecz obie partje odmówiły. (Slovak, 10. VIII. 1933 r. i 28. XII. 1933). 1. I. 1934 r.,; Narodnie Noviny, 22. VII. 1933 r.). Wówczas sami Czesi sporządzili w Pradze takie oświadczenie, **fałszując** podpisy przedstawicieli

obu partji słowackich, co zostało publicznie **napiętnowane** przez prasę Hlinki. Wreszcie Praga zagroziła rozwiązaniem obu partji i wymusiła na nich oświadczenie, że obydwa podpisy są „ich".

Z tego też punktu widzenia należy sądzić „lojalne" oświadczenia Hlinki, powtarzające się od czasu do czasu. Część z nich, to spekulacja Hlinki, lecz większość czyniona jest pod przymusem.

„Dziennik Benesza, Lidove Noviny, napisał, że wieść o tem, iż obydwie partje słowackie (partja ludowa i partja narodowa) **często wyciągają ręce ku genewskiej Radzie Słowackiej i współdziałają z nią przeciw Czechom, doszła już do samej Bułgarji.** (20. VIII. 1934 r.). Gdy zaś Ceske Slovo otwarcie zarzuciło Hlince i Razusowi, że przyjęli program gnewskiej Rady Słowackiej i że należy ich za to prześladować, władze czeskie zawiesiły pismo „Slovak" na przeciąg trzech miesięcy. — Jeden z najwybitniejszych członków słowackiej partji narodowej, dr. J. Bazovsky, zidentyfikował się z programem genewskiej Rady Słowackiej (Narodnie Noviny, 29. VII. 1933 r.). Według pisma Kramarza dr. Bazovsky, po wystąpieniu genewskiej Rady Słowackiej, zwołał natychmiast na konferencję całą słowacką inteligencję; odczytał jej memorjał Rady Genewskiej. Memorjał został przez zebranie **przyjęty.** (Narodni Listy, 2. X. 1933 r. Nr. 240). Na to wytoczono dr. Bazovsky'emu proces o chęć oderwania Słowaków od Czech i przywrócenia ich Węgrom. Wówczas pytał się „Czas" krakowski: „Jeżeli tak wypowiedział się nawet dr. Bazovsky, stary polityk słowacki, i stanął po stronie Węgrów, co można sądzić o innych Słowakach?".

Po „Slovaku" Czesi zawiesili na pół roku organ Razusa „Narodnie Noviny"; to samo zrobili z pismem młodych słowackich autonomistów „Nastup'em", pod zarzutem, że popierał on irrydentę słowacką i pisał w duchu węgierskim.

Wreszcie wspomnijmy jeszcze o Słowakach amerykańskich. Ich największą organizacją jest „Jednota“; jei urzędowy organ pisał: „Słowacy nie czują się dobrze w ramach państwa czeskiego, o ile więc wielkie mocarstwa zapewnią im byt narodowy, to gotowi są opuścić granice państwa, w którem znajdują się obecnie, gdyż nie urzeczywistniło ono ich aspiracji narodowych“. (Jednota, 21. IX. 1927). Slovenske Noviny, organ drugiej największej organizacji w Ameryce, „Katolickiego Sokoła“ (Katolicky Sokol), wydały hasło, za które dzisiaj jeszcze walczą: „Precz od Czechów, na wieki, amen!“ (5. IX. 1931 r.).

Wolnomularze czescy wydali niedawno książkę o Hlince. W książce tej czytamy, co następuje: „Jan Sujan, czeski dziennikarz, skarżył się Hlince, że naród słowacki nienawidzi go, a na to Hlinka poradził mu: „Wymyślaj pan na Czechów, to pokochają Pana Słowacy!“ (Chab, Hlinka, 202).

A teraz, gdy nasi bracia Polacy zapytają się, **dlaczego** Słowacy chcą oderwać się od Czechów i na nowo połączyć z Węgrami, to odpowiemy im, że: **po pierwsze, dyktuje im to dobrze pojęty interes własny; po drugie, obowiązuje ich do tego katolicka moralność i nauka o państwie.**

Artykuł, podpisany przez p. Gołąbka, stara się skompromitować Węgrów w oczach Polaków, przedstawiając ich jako tyranów i ciemiężycieli Słowaków przez owe 1000 lat, podczas których Słoacy wchodzili w skład państwa węgierskiego, zarzucając Węgrom **metody luterańskie.** Jakie luterańskie? Wiemy, że po wystąpieniu Marcina Lutra, historycy luterańscy zaczęli natychmiast oczerniać epokę przed Lutrem. Cały długi okres katolicki, poprzedzający Lutra, przedstawili zupełnie odwrotnie, nie znajdując tam nic dobrego. Wszystkie błędy i słabostki ludzkie powiększali oni do olbrzymich rozmiarów, nie cofając się nawet przed najśmielszemi kłamstwami. A dlaczego to robili? Tylko dlatego, że chcieli wykazać „zepsucie“ owej długiej epoki **katolicyzmu** i w związku z tem, jak bardzo potrzebnym **był**

wielki „reformator“, Marcin Luter. Tak samo postępują Czesi i ta garstka ich przyjaciół, renegatów słowackich, gdy chodzi o oczernienie Węgrów. Mówią oni o niewoli wielu wieków, jaką cierpieli Słowacy od Węgrów, tak samo pisze i p. Gołąbek. Nie znajduje on nic dobrego w naszej tysiącletniej przeszłości, przebytej w obrębie państwa węgierskiego, a za to, odwrotnie, przedstawia wszystkie krzywdy, jakie doznawaliśmy w ostatnich dziesiątkach lat, nie cofając się nawet przed grubą przesadą.

Wśród Słowaków niema rozbieżności w poglądach co do tego, że 900 lat z owych tysiąca, przeżytych w połączeniu z Węgrami, przeszło bez doznania od nich jakichkolwiek krzywd i można je nazwać szczęśliwemi. Jeżeli więc bezstronnie spojrzymy na to polityczne małżeństwo węgiersko-słowackie i zobaczymy, że z tysiąca lat 900 lat przeżyło ono w zgodzie i szczęściu, to nietylko, że nie wolno nam mówić o „wielowiekowej niewoli“ Słowaków, ale powinniśmy powiedzieć, że małżeństwo to było dosyć udane. Pan Gołąbek powołuje się na książkę pod tytułem „Slovaci a Mad'ari“, wydaną przez „Slovenska Liga“ amerykańską. My również przytoczymy jeden ustęp z tej książki: **„Węgrzy nie podbili Słowaków szablą, gdyż ci przyłączyli się dobrowolnie do Węgrów, na podstawie federacji i po zapewnieniu im wolności osobistej i majątkowej. Lecz nawet gdyby Węgrzy zwyciężyli byli Słowaków w krwawej bitwie, to ich nie podbili, nie podporządkowali ich sobie, dali im zupełną swobodę, pozostawili im majątki i przywileje, wyznanie, język, wszystkie zwyczaje narodowe i żyli ze Słowakami w przyjaźni i braterstwie, nie dając odczuć ani Słowakom, ani innym narodowościom, zamieszkałym w kraju, węgierskiej supremacij i hegemonji. W ustawach węgierskich nie było nawet śladu narodowej supremacji lub uprzywilejowania jednego narodu ze szkodą drugiego. I tak było do ostatnich czasów“.** (str. 39).

My, Słowacy, nie możemy narazić się na to, aby nas

spotkał zarzut niewdzięczności ze strony węgierskiej, dlatego też oświadczamy, że z całą gotowością uznajemy, iż doznaliśmy bardzo wiele dobrego od węgierskiego państwa i narodu, którzy przez tyle wieków zapewniali nam spokojną egzystencję, dostatek materjalny, bezpieczeństwo osobiste i majątkowe, ład i swobodny rozwój kulturalny. W tym samym duchu wypowiadali się również Mudron, Vjansky, Skultety, Pietro i inni pisarze i politycy, których naród słowacki uważa za swoich najlepszych synów.

Pan Gołąbek na innem miejscu w swoim artykule pisze, że **ucisk** Słowaków przez Węgrów **zaczął się dopiero w XVIII wieku**, a więc po wielu wiekach. Ale celowo zapomina dodać, na czem ten ucisk polegał. A tymczasem należało w imię prawdy podkreślić, że w ostatnich kilkudziesięciu latach nawet mowy nie było o wyzyskaniu gospodarczem. Węgrzy nie uważali Słowaczyzny za kolonję, jak to czynią Czesi. I gdy Czesi, ograbiając Słowaczyznę, wzbogacają Czechy, dokąd wywieźli, według obliczeń dr. Bazovsky'ego, około 260 miljardów koron czeskich majątku, to Węgrzy troszczyli się o dobrobyt ludu słowackiego, rozwijając przemysł, budując miasta, zaniedbując nawet swoją ściślejszą ojczynę, nizinę węgierską. Również nie wspomina pan Gołąbek o tem, że Słowacy podczas panowania węgierskiego nigdy nie doznali prześladowań religijnych, gdy tymczasem Czesi pozbawiają ich wyznania ojców i moralności, by ich tem lepiej zasymilować.

Słowacy mieli w ostatnich czasach tylko **jeden** proces z Węgrami, a to na terenie językowym. Sprawa nasza na Węgrzech była tylko kwestją narodowościową. I pan Gołąbek mówi też tylko o tem, ale jednostronnie. **Jednostronnie,** gdyż nie mówi on, że pod tym względem obie strony popełniały błędy. Gdy po rewolucji francuskiej całą Europę ogarnęła idea narodowa i ludy, odrzuciwszy język łaciński, zaczęły rozwijać język własny i kulturę narodową, nasi Słowaccy przywódcy nie zadowolili się kultywowaniem

narodowości słowackiej, lecz uderzyli w dzwon **pansławizmu** i zaczęli marzyć o wielkiej Rosji. Największy z ówczesnych Słowaków, L. Stur, radził Słowakom, aby dla Rosjan zrzekli się nietylko swojego języka, ale i religji i zlali się z Rosjanami. Teraz zaś, w okresie przewrotu, wezwali na Słowaczyznę Czechów, gdy przed wojną jeździli sami do Rosji, przyjmowali stamtąd pieniądze i intrygowali przeciw państwu węgierskiemu. Czynili to w pierwszym rzędzie słowaccy luteranie (którzy stanowią 12 proc. narodu) z nienawiści do katolickiej dynastji Habsburgów i do Węgier, które nazywają się „krajem Panny Marji“. I dlatego to Polacy dziwili się, że zabłąkało się tam kilku księży katolickich — pisarzy słowackich (Nolly, Radlinsky, Sasinek), którzy również entuzjazmowali się wielkiem państwem panrosyjskiem. I dlatego też narodowy ruch słowacki nabrał charakteru antypaństwowego i stał się podejrzany w oczach rządu węgierskiego. Węgrom zarzuca się, że zamknęli słowacką Maticę, ale przemilcza się, że **napis** na pieczęci owej instytucji był **rosyjski** i duch panował w niej panslawistyczny, panrosyjski, a więc przeciwrządowy. Węgrzy, będąc małym narodem, przestraszyli się zalewu morza panslawistycznego i w związku z tem, w celu samoobrony zaczęli podcinać skrzydła narodowemu ruchowi słowackiemu. Winą Węgrów było, że w każdym ruchu słowackim zaczęli wietrzyć panslawizm i chcąc się przed nim obronić, w zbyt dużej mierze narzucali Słowakom język państwowy, zwłaszcza w szkołach. Ta sama obawa przed panslawizmem była przyczyną, że nie mieli odwagi wprowadzić w życie w całości narodowościowej ustawy Deáka z 1868 r. o kodyfikacji praw języka słowackiego. Węgrzy, jeżeli mogę tak się wyrazić, starali się bronią panmadziaryzmu unieszkodliwić słowacki panslawizm. Winę więc ponoszą obydwie strony, to trzeba przyznać w imię prawdy. Pan Gołąbek, naturalnie, zapomina o tem.

A przytem, jak już mówiłem, odzwierciadlenie stosunków jest **fałszywe,** jeżeli bowiem mówi, że Węgrzy madzia-

ryzowali nas, to dlaczego nie wspomina, że Czesi nas czechizują? Łudzili nas „oswobodzeniem“ pod względem językowym, a co robią? Na papierze wykreślili już nas z rzędu narodów. Konstytucja czeska nie zna narodu słowackiego, tylko czeskosłowacki, urzędowa statystyka czeska pisze o Słowakach, jako o „Czechosłowakach“, tak, że obecnie niewiadomo już nawet, ilu Słowaków jest w Słowacji. Postawiwszy na tem fałszywem stanowisku swoje państwo, że Słowacy także są Czechami, obecnie Czesi całą siłą starają się nas czechizować i to nietylko czyniąc z naszych dzieci Czechów, ale czechizują nasz język. Sfabrykowali oni nowy język „czechosłowacki“ pod nazwą „Nowa pisownia słowacka“, zapomocą przemycania do języka słowackiego tysiąca słów i wyrażej czeskich, a rząd praski wprowadził tą mieszaninę językową, obok czeskiego, do wszystkich szkół słowackich, jako obowiązkową i we wszystkie gałęzie życia państwowego. Gorzko opiewa to poeta słowacki, Jesensky, pisząc, że w państwie czechosłowackiem „dla języka słowackiego otwarta jest tylko brama cmentarna“. Węgrzy uznawali byt narodowy Słowaków, Czesi zaprzeczają jego istnieniu, a o ile istnieje, starają się go zabić i zgnębić. A więc i pod tym względem źle wyszliśmy na Czechach.

A co dopiero możnaby powiedzieć o wywłaszczeniach majątkowych i stałych prześladowaniach wyznaniowych! Wiadomo, że przed wojną hasłem, w imię którego walczyli politycy słowaccy, było „Za tû naszu slovenczinu!“. Uznaje to nawet wielki przyjaciel Czech i ich propagator — Seton Watson. Wspomina się o języku słowackim, tak, gdyż na innem polu krzywd ze strony Węgrów nie doznawaliśmy. Obecnie jednakże hasło bojowe Słowaków brzmi: „Za to nase **Slovensko!**“ Dlaczego? Dlatego, że Czesi zabierają nam nietylko nasz język, ale całą naszą ojczyznę, chcą nas pozbawić ziemi, skarbów, a nawet religji ojców.

Oderwanie nas od Węgier było wielkiem nieszczęś-

ciem, choćby już pod względem gospodarczym. Najważniejszym i najgłówniejszym majątkiem naszym jest **drzewo.** Węgrzy kupowali je od nas i dzięki temu większa część naszego narodu mogła się utrzymać. Skończyło się to z chwilą dostania się pod panowanie czeskie. Setki słowackich robotników rolnych szło do pracy na niziny węgierskie (Alföld) i przynosiło stamtąd mąkę, słoninę i pieniądze, aby żyć z tego przez rok cały. Ale i temu położono tamę, gdyż rząd czeski nie przepuszcza Słowaków na stronę węgierską w obawie przed irrydentą. Węgrzy rozwinęli na Słowaczyźnie olbrzymi przemysł, Czesi nie chcąc dopuścić do konkurencji, zniszczyli go. Zamknęli oni przeszło 200 fabryk słowackich. Następstwem zaś tego jest około pół miljona bezrobotnych Słowaków, przymierających głodem; a gdy urządzili oni głodową demonstrację, czescy żandarmi strzelali do nich i **zabijali masowo** (Polomka, Kozuty, Telgart, Ilolic, Namestovo i t. p.). Drugie pół miljona Słowaków zmuszone było do emigrowania do Austrji, Argentyny, Francji i t. d., a wiemy, że i tam nie znaleźli pracy. Pan Gołąbek wspomina, że przed wojną całe masy Słowaków wywędrowywały do Ameryki „wskutek prześladowań Słowaków przez Madziarów". Panie Gołąbek! Prawdą jest, że i przed wojną wielu Słowaków emigrowało do Ameryki, lecz nie przemilczajmy **wielkiej różnicy:** z Węgier emigrowali Słowacy do Ameryki nie wskutek prześladowań i głodu, ale chcieli oni znaleźć tam lepszą robotę, lepiej płatną, mieli nadzieję zarobić dużo dolarów, a teraz **wypędza ich** z państwa czeskiego **głód.** Drugą różnicą jest to, że Węgrzy nie zajmowali miejsc, opuszczonych przez Słowaków, którzy wywędrowali z kraju, ale również sami masowo emigrowali do Stanów Zjednoczonych; obecnie zaś miejsca po emigrantach Słowakach zajmują Czesi. Przyszło ich dotąd do naszego kraju 300.000! To, co Pan opowiada o emigracji słowackiej, jest tak samo nieprawdą, jak historja o sierotach słowackich, które po utraceniu przez nich rodziców na cholerę, zabrały z Trenczyna bogate i litościwe rodzi-

ny węgierskie i adoptowały je, aby z głodu nie poumierały. Pan, myślący w duchu czeskim, widzi w tem również politykę i wierzy luteranowi Botto'wi i Rosjaninowi Popkowowi. Tak jest, do chwili obecnej 300.000 Czechów osiedliło się w Słowacji i to dokończyło naszą materjalną ruinę. Hlinka pisze, że Czesi ci **na sposób hakatystów pruskich** wydziedziczają, prześladują, czechizują i psują biednych Słowaków. (Slovak, 14. XII. 1932 r.). W miasteczku Bânovce odbyło się ludowe zebranie partji Hlinki i Razusa, na którem skonstatowano we wniosku rezolucyjnym, że „rządy czeskie zrobiły ze wszystkich Słowaków żebraków i że w ojczyźnie naszej dobrze się powodzi tylko Czechom".

Bardziej jeszcze od wszystkiego innego Słowaków boli, że Czesi pozbawiają ich największej i ostatniej pociechy — wyznania. Gdy ogłoszono w Pradze powstanie nowego państwa, lud praski zburzył najpiękniejszy w mieście pomnik Najświętszej Marji Panny. Tak samo robili zalewający Słowację żołnierze i legjonarjusze czescy, burząc tysiące pomników i posągów. Było to **hasłem** do rozpoczęcia **wielkiej ofenzywy,** jaką bezbożność czeska zaczęła prowadzić przeciw nabożności i moralności ludu słowackiego. Większość głosujących w parlamencie w Pradze, w 1919 r. przyjęła wniosek, że „Bóg nie istnieje". I u nas czescy nauczyciele i profesorowie prowadzą systematyczną propagandę przeciw religji katolickiej, nawracając na husytyzm i wpajając niemoralne i erotyczne zasady w nadzieję naszego narodu, młodzież, w zamiarze, z którym się nie kryją: odbierzemy im religję, a wówczas łatwiej pozbawimy ich narodowości! Delattre, francuski uczony, który studjował stanowisko katolicyzmu w Europie środkowej, doszedł do konkluzji, że dzisiaj katolicyzm najlepiej stoi na Węgrzech, a najgorzej w Czechach i że „o ile Słowacy pozostaną przez czas dłuższy pod panowaniem czeskiem, to wówczas Kościół katolicki utraci dobry i pobożny naród, który już przestanie służyć cywilizacji i pokojowi".

Jeżeli więc my, Słowacy, doznawaliśmy od Węgrów

jednej krzywdy, to pod panowaniem czeskiem doznajemy **trzech.** Czyż więc dobrze pojęty interes własny nie powinien nam nakazywać odłączenia się od Czechów i zjednoczenia z Węgrami? Powinniśmy to uczynić nawet wtedy, gdybyśmy mieli powrócić do dawnych warunków, co jest zresztą zupełnie wykluczone, gdyż ze strony węgierskiej parokrotnie otrzymywaliśmy w urzędowej i najuroczystszej formie gwarancję, że w razie naszego przyłączenia się zapewnione nam będą prawa narodowościowe.

Mówiłem już, że nietylko dobrze pojęty ineres, ale również **obowiązek** wskazuje nam drogę do Węgrów, tak, jak nasze rzeki i pasma gór nam to wskazują. Tutaj przemawia ze mnie katolicki teolog i socjolog.

Kościół katolicki często doznawał przykrych doświadczeń ze strony państwa (Neron, Bismarck, Calles i inni), ale pomimo to stawał po stronie państwa i uważał je za instytucję, z Bożej woli powstałą. Obywateli obowiązuje więc wierność i lojalność wobec państwa, **nawet wówczas, gdyby jakiś uzurpator oderwał ich od ojczystego kraju.** Gdyby się kiedykolwiek zdarzyło, żeby np. sąsiad rosyjski nieprawnie zagrabił Polsce kawałek ziemi, to mieszkańców tego oderwanego kawałka obowiązywałaby nadal moralność katolicka — być wiernymi ojczyźnie. Obowiązani byliby w uzurpatorze widzieć tylko uzurpatora i gdyby dawna ich ojczyzna wszczęła kroki ku odebraniu owego kawałka ziemi, ich obowiązkiem byłoby wspierać Polskę. Co się tyczy Polski, tyczy się również i Węgier. Czesi **bezprawnie** oderwali Słowację od Węgier. Sami oni przyznają, że **jedynym** „tytułem prawnym", na podstawie którego żądali i otrzymali Słowaczyznę, było to, że „Słowacy to Czesi". Przeciw temu twierdzeniu głośno protestuje cała Słowaczyzna (Nitra). A więc i ten „tytuł prawny" Czechów jest bezprawny i tym sposobem Czesi są u nas tylko uzurpatorami i najeźdzcami. I dlatego moralność katolicka i nauka o państwie obowiązuje na oderwanych ziemiach nietylko Węgrów i Niemców, ale również całą ludność słowacką do uważania

Czechów za uzurpatorów i do zachowania w tej smutnej sytuacji przymusowej wierności dla Węgier, które były ich ojczyzną przez lat tysiąc. I gdy kiedyś Węgry rozpoczną kroki do odzyskania tych ziem, Słowaków obowiązkiem będzie wspierać ich. My, Słowacy, w 85 % jesteśmy katolikami i uważamy za swój obowiązek słuchać i w tym względzie naszego Kościoła. Niestety, wielu polityków słowackich nie zna, czy też bagatelizuje przepisy nauki Kościoła, ale większość naszego narodu jest i nadal religijna i gotowa jest do spełnienia rozkazów Kościoła. Nasi bracia Polacy, będąc sami katolikami, nie mogą nam brać za złe, że byliśmy zawsze i dzisiaj jesteśmy wierni naszej ojczyźnie, do której wzdychamy w niewoli czeskiej. Naród słowacki nigdy nie pragnął oderwania się od Węgier. Uznają to nawet sami Czesi (Meakulpinsky). Jeżeli czeska mafja powołuje się na tę grupę panslawistów słowackich, którzy pomagali im w Słowacji i mówi, że sami „Słowacy“ chcieli zjednoczyć się z Czechami, to na to odpowiemy im: włamywacz znajduje często niewiernego sługę lub nawet członka rodziny, który wskaże mu drogę, bramę i da klucz do upatrzonego na ofiarę domu. Ale taki włamywacz nie może, pomimoto, twierdzić, że „cała rodzina“ zaprosiła go do owego nieszczęsnego domu. Myśmy mieli takich niewiernych członków rodziny, tak zwanych deklarantów (Turc. Sv. Martin), którzy na życzenie mafji czeskiej nie wahali się oświadczyć, że naród słowacki nie istnieje, że Słowacy są też Czechami (lub Czechosłowakami), a więc Słowaczyzna jest ziemią słowacką, do której mogą wejść Czesi. Pan Gołąbek powołuje się również na umowę w Pittsburgu, którą dlatego uważa za nieważną, ponieważ została uchwalona przez te osoby, które, przebywając w Ameryce, nie mogły tworzyć państwa w Europie. Nie tak jest, panie Gołąbek! Umowa pittsburska jest ważna i obowiązuje tych, którzy ją zawarli, a więc Słowaków amerykańskich i Masaryka, ale n i e c a ł y naród słowacki. A dlaczego nie? W Ameryce mieszka

wielka ilość emigrantów polskich, a czyż oni mogą rozstrzygać o losie c a ł e g o narodu polskiego? Napewno, że nie. A więc i amerykańska emigracja słowacka nie może rozstrzygać o losach całego narodu słowackiego. Pewien odłam ludzi nie może decydować o przyszłości całego kraju.

Powtarzam, że Czesi są u nas tylko uzurpatorami i że nauka Kościoła obowiązuje nas, Słowaków, do zachowania wierności dawnej ojczyźnie i do powrotu do niej, gdy tylko nadarzy się sposobność. Ta sama nauka Kościoła obowiązuje również i Węgrów do respektowania naszych praw narodowych. I jak nas zapewnia w swej książce J. Sultety, Słowak, Węgrzy żałują błędów, na nas popełnionych i gotowi są zainaugurować nową, sprawiedliwą politykę narodowościową. Jeżeli więc i Słowacy przyznają się do tego, że błądzili i gdy na wzór syna marnotrawnego wrócą do św. Szczepana i jego korony, mogą być pewni, że przyjęci będą serdecznie i sprawiedliwie potraktowani.

Tymczasem Czesi i ich protektor, pan Gołąbek, straszą Słowaków: nie wierzcie, obietnicom węgierskim, gdyż i w obecnych, małych Węgrzech, mieszka 150.000 Słowaków, tak zwana „mniejszość narodowa słowacka", a Węgrzy ich gnębią i prześladują. Cóż więc można od nich oczekiwać na wypadek waszego przyłączenia się? — Odpowiedź:

Węgrzy w przeszłości byli tak liberalni, że pozwolili Słowakom na osiedlenie się w okolicach czysto węgierskich. A nawet w tym czasie, gdy przyjęli do siebie słowackie sieroty z Trenczyny, kilka tysięcy rodzin słowackich osiadło na nizinie węgierskiej (Alföld) i zostały szczodrze obdarzone najlepszą ziemią. Tak się to więc stało, że w obecnych, okrojonych Węgrzech mieszka dużo Słowaków. A teraz przyjrzyjmy się, jaki jest los naszych rodaków, zamieszkałych na Węgrzech.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą i uznaną, że Słowacy, żyjący na Węgrzech, tworzą najbogatszą część Słowaków. Pod względem więc gospodarczym nie doznali i dzisiaj nie doznają żadnych krzywd. Pod tym względem najsmutniejszy jest los Słowaków, którzy dostali się pod panowanie czeskie. Ci wszyscy są już żebrakami.

Również nie mogą powiedzieć Czesi, że Węgrzy prześladują religję słowackiej mniejszości narodowej, u nich pozostałą. Gdy Czesi burzą posągi Najświętszej Marji Panny, to tam, u Węgrów, obraz Matki Boskiej widzimy na monetach i markach państwowych.

Zresztą Czesi wspominają t y l k o o prześladowaniach językowych i to zarzucają w Genewie Węgrom. Gdyby Węgrzy chcieli być cyniczni, mogliby powołać się na konstytucję czeską i urzędową statystykę czeską, która nie uznaje Słowaków, narodu słowackiego i mówi, że w myśl konstytucji czeskiej Słowacy nie istnieją, a więc u nas niema „mniejszości narodowej słowackiej". Czyż nie tak? Ale Węgrzy nie są cynikami. Oni nie wykorzystają tego faktu, że słowaccy renegaci w Turc. Sv. Martinie (na 106 deklarujących 95 było luteranów) sami zaprzeczyli istnieniu narodu słowackiego. Węgrzy, przeciwnie, uznają naszą słowacka narodowość i respektują ją. Czesi wykuwają skargi, że mniejszość słowacka na Węgrzech nie ma szkół słowackich. A co jest prawdą? Że istnieją szkoły, gdzie dzieci uczą się po słowacku, ale również mają możność nauczenia się języka państwowego, którego potrzebują. Ironja losu: S ł o w a c y, u c z ą s i ę c z y s t e g o j ę z y k a s ł o w a c k i e g o t y l k o n a W ę g r z e c h, gdyż w Słowacji, jak już mówiliśmy, czeska Akademja Umiejętności sfabrykowała dla naszych szkół i urzędów nowy język „czechosłowacki", który jest obowiązujący. Węgierska Akademja Umiejętności zaś zostawia w spokoju język słowacki i przez to wytworzyła się dziwna sytuacja, że gdy w Słowaczyźnie ludzie nie mówią już czystym językiem słowackim, na

Węgrzech — i to tylko na Węgrzech! — utrzymał się dzisiaj jeszcze w całej swej kryształowej czystości nasz słodki język słowacki. Tak więc wyglądają oszczerstwa czeskie!

Wreszcie pan Gołąbek tłumaczy nam, Słowakom, żebyśmy raczej pozostali z Czechami, gdyż przynajmniej są oni Słowianami, gdy tymczasem Węgrzy zupełnie są od nas odrębni i są — rasą całkiem różną. — Odpowiedź:

Gdy w roku zeszłym byłem w Anglji, kilku posłów w londyńskim parlamencie zwróciło się do mnie z zapytaniem: Panie profesorze! Czesi nam mówili, że Słowacy to j e d e n naród z nimi. Masaryk pisał do naszego rządu, że „Slovaks are Czechs“ (Słowacy są Czechami). Dzisiaj już wiemy, że to n i e p r a w d a, że wy jesteście odrębną r a s ą od Czechów. Ale pomimo to Czesi, jako Słowianie, są wam bliżsi, niż Węgrzy, którzy są narodem w zupełności innym, niż wy. Niech więc pan nam powie, dlaczego wy, Słowacy, chcecie raczej przyłączyć się do Węgrów? Na to odpowiedziałem im:

1. Nam, Słowakom, nie potrzebni są Węgrzy, tylko ta wielka nizina węgierska (Alföld), która była dla nas przez tysiąc lat bogato zaopatrzoną śpiżarnią, bez której lud nasz skazany jest na głód. Primum vivere!

2. Prawda, że Czesi są nam bliżsi, lecz tylko pod względem językowym. Ale pod względem duchowym daleko bliżsi są nam Węgrzy i nic w tem dziwnego, skoro przez tysiąc lat żyliśmy z nimi pod panowaniem jednych królów i jednych ustaw, łączyły nas wspólne zwyczaje, wspólne zwycięstwa, nie mówiąc już o tem, że przez całe wieki Słowacy bardzo często zawierali małżeństwa z Węgrami. Dużo znaczy historja, panowie, przykłady tego widzimy również w Szwajcarji. Nasz największy poeta, Vajansky, pisze: „Dla nas, Słowaków, bliższymi są nawet Eskimosi, niż zupełnie zniemczeni Czesi“. (Prazak, Slovenska Svojskost, str. 64). Pisze również: „My, Sło-

wacy, pod względem duchowym bardzo daleko stoimy od Czechów, zupełnie od nas odrębnych, za to pod względem kulturalnym i moralnym identyczni jesteśmy z Węgrami". (Cytata w książce czeskiej Chalupny'ego: „Narodni filozofie ceskoslevenska", str. 210).

3. A nawet właśnie to pokrewieństwo językowe, jakie istnieje między nami i Czechami, jest jeszcze jedną z przyczyn, skłaniającą nas do trzymania się zdaleka od nich. Język czeski bardzo łatwo miesza się ze słowackim, w przeciwieństwie do zupełnie odrębnego idjomatu węgierskiego. Temu też należy przypisać, że po tysiącletniem współżyciu z Węgrami zachowaliśmy zupełną czystość naszego języka, podczas, gdy po krótkim okresie 16-letnim język czeski zdążył bardzo silnie nasz język zarazić. To samo stało się z Morawianami, którzy pierwotnie byli Słowakami, a tylko wskutek sąsiedztwa z Czechami zupełnie się zczechizowali, gdy my, żyjąc nietylko w sąsiedztwie z Węgrami, ale we wspólnem państwie, po tysiącu lat pozostaliśmy Słowakami.

4. Pozatem, z małżeństwami politycznemi jest tak samo, jak z każdem innem małżeństwem. Rodzeństwo nie zawiera z sobą związków małżeńskich i każda ustawa zabrania małżeństw „en famille". Niestety, historja wykazuje, że zwłaszcza małżeństwa polityczne, zawierane między narodami słowiańskimi, nie cieszyły się błogosławieństwem Boskiem. Polaków gnębili Rosjanie, Kroatów mordują Serbowe, Słowaka Abla zabija Czech Kain. Miejmy nadzieję, że zamach marsylski dosyć wyraźnie oświetlił tę smutną rzeczywistość. Co my, Słowacy, mamy za korzyść z takiego braterstwa czeskiego? Lepiej więc, jeżeli ze względu na małość i ubóstwo Słowaczyzny nie możemy być zupełnie niezależni, abyśmy połączyli się z zupełnie obcym, nie słowiańskim narodem, a tym narodem nie może być nikt inny, jak tylko Węgrzy.

Nadto ów słowiański argument osłabiony zostaje jeszcze bardziej faktem, że trudno Czechów zaliczać do Słowian. Nienapróżno bracia Polacy nazywają ich P r u s a k a m i słowiańskimi. Cóż za Słowianie z Czechów, którzy podczas całej wojny światowej obrabowali Syberję, mordowali kobiety rosyjskie, przyczynili się do śmierci setek żołnierzy polskich, wydali na śmierć Kołczaka bolszewikom, okradli kasę państwową rosyjską (w Pradze z tych ukradzionych pieniędzy otworzyli bank Legjonu), rozstrzeliwali masowo jeńców słowackich, gdyż ci nie chcieli wstępować do czeskich legjonów? Jakimiż Słowianami są Czesi, jeżeli dzisiaj jeszcze w swoim własnym kraju trzymają w niewoli i gnębią trzy narody słowiańskie: Słowaków, Rusinów i Polaków z Cieszyńskiego?

My nie pragniemy krzywdy Czechów. Nie żądamy nic z tego, co należy do nich. Niech tylko zwrócą Polsce Polaków cieszyńskich, a sami niech się wynoszą precz ze Słowacji!

Genewa, 1935.

Ks. prof. Dr. Franciszek Jehliczka
prezes „Rady Słowackiej"
b. profesor Uniw. warszawskiego.

IGNORANCJA „GŁOSU NARODU".

(NA MARGINESIE PEWNEJ POLEMIKI).

Od p. Eugenjusza Schummera, członka zarządu „Związku Polskiej Myśli Państwowej", otrzymaliśmy następujący komunikat.

Nic niema gorszego, niż dziennikarskie nieścisłości. Przypomina mi to pewną anegdotę francuską. Do redakcji dziennika paryskiego przybiega zdyszany pan i woła:

— Panowie, wydrukowaliście dzisiaj, że ukradłem w tramwaju zegarek. To kłamstwo! Przecież to mnie właśnie ukradziono zegarek w tramwaju. Żądam sprostowania!

A na to redaktor:

— Proszę pana, sprostowania nie zamieścimy. Odradzam to panu po przyjacielsku. Nie osiągnie pan żadnego celu. A raczej wprost przeciwnie. Ludzie będą mówili po tem sprostowaniu: „Patrzcie, oto pan B., który miał tę aferę z zegarkiem"... Nikt w rezultacie nie będzie wiedział, jak rzecz stała naprawdę. Każdy będzie wiedział tylko, że pan miał jakąś niejasną sprawę z zegarkiem. Pomijając już tę okoliczność, że sprostowań nikt nie czytuje... Poradzę panu co innego: kup pan dwadzieścia takich samych zegarków i rozdaj je pan na ulicy. Wtedy napiszemy o tem wzmiankę. Wtedy nikt nie uwierzy, że człowiek, który darmo rozdaje zegarki, kradnie jeden zegarek w tramwaju...

Anegdota powyższa przyszła mi na myśl, kiedym przeczytał wycinek, przesłany mi przez Polską Informację Prasową. Wycinek z „Głosu Narodu" z dnia 10 lutego b. r. Pismo to zamieściło notatkę na temat węgierskiego zebrania u prof. Adorjana Diveky'ego, opierając się na sprawozdaniu, które podał „Przegląd Katolicki".

Notatka ta brzmi następująco:

„Tygodnik „Przegląd Katolicki" donosi o ruchu, rozpoczętym w Warszawie przez nieznany dotąd „Związek Polskiej Myśli Państwowej". Związek ten odbył zebranie u prof. Diveky'ego. Przebieg tego zebrania streszcza „Przegląd Katolicki" w następujący sposób':

> *„Dr. Bobrzyński uzasadnił na wstępie potrzebę bloku 9 państw Europy środkowo-wschodniej. P. Schummer rozwinął postulat wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Osiągnąć się to da przez włączenie Rusi Podkarpackiej do Węgier. Ruś wchodzi obecnie w granice Czechosłowacji, która uważa ją sama za nabytek czasowy (?) (przyp. „G. N."). W traktacie z Trianon istnieje klauzula, pozwalająca na rewizję granicy. Trzeba zresztą przypomnieć, że prezydent Masaryk parę razy mówił o możliwościach pewnych rekompensat granicznych dla Węgier".*

„Tylko jednostki, nie mające poczucia odpowiedzialności, mogą lansować podobne pomysły. Masaryk wypowiadał się za „rekompensatami" dla Węgier, ale w trakcie wytyczania granic przez komisję delimitacyjną; trzeba złej woli, by mu podsuwać gotowość oddania Węgrom jakiejś części Czechosłowacji... P. Schummer (figura nieznana nikomu) doradza zabór Rusi przykarpackiej przez Węgry, a może i Słowaczyzny przez Polskę? Czy się jednak p. Schummer pytał tych Rusinów, czy chcą wrócić pod jarzmo węgierskie?... Aranżerowie tej dyskusji nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa tej akcji. Jeśli się zacznie zmieniać „Trianon", to na tej samej podstawie można będzie zniszczyć „Wersal". Dopiero wtedy, gdy zagrozi zniszczenie „Wersalu", zaczniemy zwoływać wszystkich w Europie „przyjaciół pokoju", także i Czechosłowację, do obrony granic... Czesi wiedzą, co się u nas w pewnych kołach mówi. Nie dziw tedy, że się niepokoją. Słowacki organ z Bratislavy, „Slovensky Dennik" wyrzuca rządowi Polski:

> *„chce nas rozsiekać na troje, nie uznaje naszych granic, chce porzucić nas z powrotem na pożarcie Madziarom".*

„W to nie wierzymy. Rządu polskiego nie możemy stawiać na poziomie pp. Bobrzyńskiego i Schummera. Ale niechże

ustanie ta samobójcza polityka, którą inspiruje prof. Diveky, którą prowadzi „Związek Polskiej Myśli Państwowej“, raczej „Antypaństwowej“ należałoby powiedzieć.“

Tyle „Głos Narodu“.

Pierwsza uwaga, jaka nasuwa się po tej wzmiance, to wielka ilość głupstw i nieścisłości, nieproporcjonalnie wielka w stosunku do rozmiarów artykuliku. Pismo nazywa Związek Polskiej Myśli Państwowej „nieznanym“. Skoro się czegoś nie zna, nie należy tego poruszać. Inaczej co krok popełni się graffę, jaką właśnie przytrafiło się popełnić „Głosowi Narodu“.

Jeżeli już jednak „Głos Narodu“ za „Przeglądem Katolickim“ zainteresował się Związkiem, to pośpieszę go uspokoić, że Związek tak bardzo znowu nieznany nie jest. Owszem, istnieje pod firmą dopiero od paru miesięcy, ale działalność jego sięga lat czterech. Wystarczy wziąć do ręki czterdzieści parę tomów **„Naszej Przyszłości, trybuny Polskiej Myśli Państwowej“.** Ale obawiam się, że i ten miesięcznik dla krakowskiego „Głosu Narodu“ również okaże się nieznany. Ale to już byłoby przyznaniem się do parafiańszczyzny, zaściankowości. „Co na mojem podwórku, to jeszcze..., ale co gdzieindziej, to już ani w ząb...“

Dalej. W bieżącym numerze znajdzie „Głos Narodu“ przemówienie moje in extenso. Żeby móc zabierać głos o referacie, należy przedewszystkiem mieć go przed oczyma. Opieranie się na dziennikarskiem sprawozdaniu z prawej ręki, choćby najbardziej objektywnem, może okazać się zawodne. W całym moim referacie nie znajdzie „Głos Narodu“ **ani słowa o tem, że ja pragnę włączyć Ruś Podkarpacką do Węgier.** Skąd te wnioski? Równie dobrze możnaby z referatu wnosić, że Ruś Przykarpacką pragniemy włączyć do Polski. Uprasza się zatem o uważne przeczytanie referatu.

Co dotyczy słów prezydenta Masaryka: wyraźnie po-

daję datę tego przemówienia do p. Gillersona, przedstawiciela sowieckiego Czerwonego Krzyża. Rok 1920. Nie chodzi tutaj, kiedy te słowa były wypowiedziane — czy w trakcie wytyczania granic przez komisję delimitacyjną, czy wcześniej, czy później. Chodzi o to, że Czesi zbyt często nie respektowali i nadal nie respektują zarówno oficjalnych oświadczeń werbalnych swoich mężów stanu, jak i nie respektują umów. Może nam zechce „Głos Narodu" powiedzieć, ile wykonali Czesi z umów w Pittsburgu ze Słowakami i w Scranton z Rusinami? Może zechce nam nasz szanowny oponent uzasadnić słynny protest pół miljona Rusinów amerykańskich z 31 grudnia 1928 roku. A wszakże protest ten przeciwko gwałceniu przez Czechów umowy scrantońskiej wychodzi od tych samych ludzi, którzy go z Masarykiem zawarli!

„Czy się jednak p. Schummer pytał tych Rusinów, czy chcą wrócić pod jarzmo węgierskie?..."

Owszem, Rusini chcą wrócić pod „jarzmo" węgierskie, gdyż przekonali się, że „jarzmo" to w porównaniu z udręką, jaką znoszą dziś od Czechów, wydaje im się rajem. Wystarczy w tej mierze posłuchać ruskiej opinji. Wystarczy przypatrzeć się, jak Czesi na gruncie Rusi uprawiają propagandę ukrainizmu, rusyfikacji i niezgody religijnej. Czechizuje się nagwałt ruskie szkolnictwo, zamyka się unickie kościoły, odbiera się Rusinom ziemię, żeby osadzać na niej pepiczków z nad Wełtawy, względnie agentów komunistycznej Rosji.

Naiwnie już aż do zdumienia brzmią słowa „Głosu Narodu", jakobyśmy w akcji naszej dążyli do podważania zasady nietylkalności traktatów. Ani nam to w głowie! Powtarzam raz jeszcze: Ruś Przykarpacka posiada takie tytuły prawne, takie klauzule, że rektyfikacja granic węgierskich i czeskich odbyć się musi i powinna równie spokojnie, normalnie i bez krzyku, jak ostatnio odbyła się

zmiana granic Rzeszy w Zagłębiu Saary. Czy kiedy przeprowadzano plebiscyt Saary, krzyczał kto, że podważa się traktat wersalski? Jasny i rzeczowy program polityczny, trzeźwe patrzenie w przyszłość, wysuwanie pewnych tez — nie oznacza jeszcze żadnego burzenia istniejącego porządku międzynarodowego, czy nazwiemy to rewizjonizmem, czy inaczej. Natomiast strusia polityka chowania głowy w piasek, upierania się przy jakimś skostniałym i lękliwym status quo oznacza polityczny i dyplomatyczny marazm i nie zawsze wychodzi na dobre. Kiedy rząd nasz zawierał akty o nieagresji i przyjaźni z prawym i z lewym sąsiadem, ludzie, którzy taką właśnie lękliwą uprawiają politykę, porwali się za głowy, ale dla ludzi, myślących trzeźwo, akty te nie były jakąś nieoczekiwaną niespodzianką, czy też czemś przerażającem.

Ostatnie słowa „Głosu Narodu" brzmią aż komicznie w swojej naiwności. „Dopiero wtedy, gdy zagrozi zniszczenie „Wersalu", zaczniemy zwoływać wszystkich w Europie „przyjaciół pokoju", także i Czechosłowację, do obrony granic..."

Ależ niech nas Bóg uchowa przed takimi przyjaciółmi! Doznaliśmy już raz ich „przyjaźni" w czasie wojny polsko-bolszewickiej, kiedy to p. Masaryk, według słów lorda Dabernoon, radził armjom sprzymierzonym zaprzestania akcji pomocniczej Polsce, bo przecież każdemu wiadomo, że Bolszewicy i tak zagarną Polskę...

A fakt drugi, to znany akandal nieprzepuszczenia przez terytorjum Czechosłowacji węgierskiej amunicji, która dla nas wówczas zdecydować mogła o życiu lub o śmierci. Właśnie dlatego, żeby uniezależnić się od takich przyjaciół, właśnie dlatego, żeby uniknąć starych błędów, zbudowaliśmy własną Gdynię (żeby nie być narażonym na drugi „strajk" gdański w czasie wyładunku amunicji), właśnie dlatego, żeby uniknąć blokady czeskiej pragniemy wspólnej granicy z Węgrami.

Na koniec wreszcie nasza polityka węgierska nie jest bynajmniej inspirowana przez prof. Diveky. Gdyby „Głos Narodu“ znał naszą organizację chociaż trochę lepiej, to przekonałby się, że w dziesięciu punktach naszej najbliższej działalności figuruje sprawa węgierska. Zebranie u prof. Diveky urządzone było staraniem i na zaproszenie Związku Polskiej Myśli Państwowej.

Jeszcze ostatnia uwaga, której już nie chciałbym wtłaczać w ramy polemiki publicystycznej, dotyczy mojej skromnej osoby, którą „Głos Narodu“ opatruje wykwintnem określeniem „figura nieznana nikomu“. Pocieszam się, że i Związek Polskiej Myśli Państwowej również jest „Głosowi Narodu“ **nieznany.** Obawiam się jednak, że najwięcej nie znany jest u nas „Głos Narodu“. Słyszało się wprawdzie coś, że takie pismo istnieje, ale nie przypuszczało się, że taką zdradza ignorancję w elementarnych kwestjach.

Nie pozostaje mi więc nic innego, jak życzyć zarówno sobie, jak i „Głosowi Narodu“, że jeśli dotąd jestem mu nieznany, to może niebawem pozna mnie lepiej.

E. M. Schummer.

Nie wchodząc w meritum polemiki szanownego autora powyższego artykułu z redakcją „Głosu Narodu“, podnieść tylko pragniemy dwie sprawy.

Po pierwsze, najgorszym, najbardziej miażdżącym zarzutem, jaki można zrobić dziennikarzowi — bez względu na jego przekonania polityczne — jest brak należytej informacji i orjentacji. Wszak bez tych dwuch walnych warunków trudno być dziennikarzem, a choćby nawet tylko reporterem! Pewnej orjentacji wymaga się nawet od prostego akwizytora ogłoszeń.

Bez informacji i orjentacji nie może istnieć prasa, jako siódma, czy któraś tam z rzędu potęga.

Otóż konstatujemy raz po raz, że „Głosowi Narodu“ brak stanowczo tych dwuch walnych warunków. Zauwa-

żyliśmy bowiem, że sporadyczne swe wypady przeciw Naszej Przyszłości, czy przeciw powstałemu z jej inicjatywy w grudniu z. r. Związkowi Polskiej Myśli Państwowej, robi ten dziennik na podstawie przygodnych notatek, wyłapanych w innych organach prasowych, nie zadając sobie trudu zajrzenia do źródła, jakiem w danych wypadkach może być jedynie tylko nasz miesięcznik. Przez pewien czas przesyłaliśmy nawet nasze wydawnictwo „Głosowi Narodu" w drodze jednostronnej kurtuazji publicystycznej.

A źle jest czerpać natchnienie do pióra z drugiej lub trzeciej ręki, z dorywczych notatek prasowych, nie wiedząc nic pozatem co, gdzie i jak? Taka „praca publicystyczna" może nieraz przykre figle płatać dziennikarskim kompilatorom. Nie mamy żadnej pretensji do szerokiej popularności, ani „wybitnictwa", ale wiemy dobrze, nawet **bardzo dobrze,** czem jest naprawdę i czem chce być „Głos Narodu". Natomiast „Głos Narodu" wystawia sobie bądź co bądź świadectwo ubóstwa, stwierdzając z rozrzewniającą szczerością, że nic o nas nie wie. A przecież tęgi dziennikarz zawodowy powinien doskonale wiedzieć nawet o tem, co w każdej Koziej Wólce w trawie piszczy, a cóż dopiero o tem, co się dzieje w stolicy! A jeżeli przypadkiem nic o tem nie wie, to — dalipan! — nie powinien do tego się przyznawać. Bo gdyby dziennikarze mieli znać tylko to, co jest powszechnie znane, popularne, „wybitne" i utarte, to nie mieliby chyba żadnej racji bytu. Nieprawda?

To jedna rzecz. A teraz druga, daleko poważniejsza: nieszczęsna narkoza słowianofilska.

Lepszem, zgodniejszem i znacznie mocniejszem tętnem szłoby naprzód polskie życie i polska polityka narodowa — gdyby nie były w znacznej mierze hamowane i wprost paraliżowane złudą slawizmu, czy panslawizmu, bo w gruncie rzeczy na jedno to wychodzi. Każda myśl, każda koncepcja i każde przekonanie polityczne musi mieć koniecznie jakąś realną podstawę, jakieś logiczne uzasad-

mienie, w przeciwnym bowiem razie staje się tylko fikcją i to fikcją szkodliwą. Otóż słysząc wciąż o tej jakiejś słowiańszczyźnie w różnych sferach naszych rodaków, musimy zadać sobie pytanie, jaką to filosłowiańskie nastawienie ma realną podstawę i co z niego praktycznie, dla polskiego narodu i państwa wyniknąć może.

Rozpatrując rzecz objektywnie, nie dostrzegamy w całej tej sprawie niczego innego, jak tylko pewien objekt dla badań gramatycznych, lingwistycznych i etnologicznych, a więc dla czysto teoretycznych badań naukowych. Jest to dla nas, Polaków, żyjących dzisiaj we własnem realnem państwie, taki sam problem, jak np. szukanie źródeł pochodzenia rasy aryjskiej na wyżynach Pamiru lub na archipelagu sundajskim, gdzie, jak wiadomo, znaleziono resztki rzekomego małpoluda (pitecanthropus erectus), o którego toczy się dziś jeszcze spór między uczonymi, czy był więcej człowiekiem, czy więcej małpą, czy czemś pośredniem.

Absolutnie takie samo znaczenie ma dla ogólnej polskiej, praktycznej poiltyki narodowej, dla naszego międzynarodowego nastawienia sprawa pochodzenia Polaków, Moskali, Czechów, czy Serbów z jakiegoś wspólnego pnia szczepowego. Interesować to może bowiem już tylko teoretyków lingwistów, etnologów, lub archeologów. Dla praktycznych interesów naszego narodu i państwa, dla praktycznego polityka — w najszerszem tego słowa znaczeniu — jest to problem bez żadnego waloru.

Wszak wiemy doskonale, z aż nadto długiego i dotkliwego doświadczenia, że teoretyczne pokrewieństwo szczepowe i pokrewieństwo języka nietylko nie zbliżało w praktycznym biegu historji do siebie narodów, ale wprost przeciwnie, z zasady rzuca je przeciw sobie, tworzy z nich najgorszych wrogów wzajemnych, zwłaszcza, jeżeli dwa szczepowo pokrewne narody bezpośrednio ze sobą sąsiadują.

Cały ostatni, dwuchsetletni okres zmagań polsko-rosyjskich jest chyba aż nadto wymownym tego dowodem. A w nowszych czasach perfidna nienawiść Czechów do wszystkiego, co polskie, prześladowanie z ich strony polskiej mniejszości oraz wszystkie wrogie enuncjacje i czyny czeskiego rządu i różnych innych czynników wobec Polski, są drugim dowodem, niemniej wymownym. A nasz stosunek z Rusinami? A stosunki między Moskalami a Rusinami, zarówno pod reżimem carskim, jak i bolszewickim? A stała nieprzyjaźń między Serbami a Bułgarami? A krwawe nieraz zmagania serbsko-chorwckie, o których dowiedziała się coś niecoś Europa w ostatnich czasach? I tak dalej...

Jakiż więc walor prawdziwy, istotny, realny z narodowego i państwowego punktu widzenia może mieć dla narodów słowiańskich idea jakiegoś przedpotopowego wspólnego pochodzenia? Wiadomo zresztą, że już tysiąc lat temu, a nawet wcześniej jeszcze, różne szczepy słowiańskie żarły się niezgorzej między sobą i wzywały przeciw sobie na pomoc nieraz obcą interwencję. Po dziś dzień nietylko nic się w tem nie zmieniło, ale przeciwnie, zaostrzyło się jeszcze wskutek silniejszego ugruntowania się pojęć o narodzie i państwie. Jedynie więc miarodajną i praktyczną sprawą są dzisiaj narody, państwa, rządy, no i nie na ostatniem miejscu karabiny maszynowe, armaty i inne narzędzia państwowej suwerenności — a natomiast teoretyczne reminiscencje wspólnoty genezy szczepowej są dziecinnem marzeniem, o ile ktokolwiek chce je przenieść na forum polityki realnej.

Ta realna polityka uczy nawet, że daleko łatwiej sprzymierzają się ze sobą państwa, szczepowo i językowo całkiem odrębne, gdyż te mniej obawiają się supremacji jednej kultury nad drugą, niż państwa szczepowo pokrewne.

Tak więc, biorąc rzecz realnie, sine ira et studio, sło-

wiańskość jest pozytywnie nic nieznaczącym frazesem, a wielce dla nas szkodliwym. Pod pokrywką bowiem tego frazesu usiłują różni nasi najserdeczniejsi „bracia słowiańscy“ nabić w butelkę naiwność polską — i to wcale nie dopiero od wczoraj. Jakże komicznie wygląda np. ta naiwność polska — naprawdę już karygodna — na terenie wszelakich związków polsko-czeskiej przyjaźni, albo w atmosferze istotnej obłudy wszelakich zjazdów „naukowych“ polsko-czeskich lub wogóle polsko-słowiańskich! W atmosferze wszelkich tych zebrań unosi się z jednej strony wyraźna ironja czeska, ruska, rosyjska, serbska, chorwacka i t. p. — bo wszystkie te narody kpią sobie w gruncie rzeczy ze słowiańszczyzny, a myślą tylko o własnym interesie — a z drugiej strony polska rzewna naiwność, która słowiańskie te jasełka na serjo traktuje.

A tymczasem Ukraińcy urządzają nam nieprawdopodobne awantury, a Czesi prześladują bezczelnie Polaków, kradną z włamaniem połowę Śląska Cieszyńskiego, chcą wydawać nas — jak już przed wojną — na łup Rosji, agitują przeciw Polsce po całym świecie i t. d. Cóż więc mamy naprawdę, konkretnie, realnie z całej tej słowiańskości? Niepodobna zrozumieć wobec tego, jak prawdziwy polski patrjotyzm, może godzić się z tą jakąś dziką, nienaturalną sympatją wobec najzdradliwszego z naszych współczesnych wrogów! I jak może tego wroga, którym naprawdę rządzi masonerja, popierać gazeta polsko - katolicka! Czyż nie jest tysiąckroć lepszem pewne objektywne nastawienie polityczne, które ułatwia prowadzenie realnej polityki międzynarodowej i szukanie sojuszów tam, gdzie one jakieś konkretne przedstawiają korzyści, trwałe lub choćby tylko chwilowe, bez przesłaniania sobie oczu i zdrowego sądu jakimiś językowoszczepowymi tumanami, z czego śmieją się nietylko trzeźwe zachodnie, politycznie wyrobione narody, ale w pierwszym rzędzie sami nasi najserdeczniejsi bracia Słowianie!

Bo i cóż poczniemy, skonstatowawszy z zachwytem, że Puszkin lub Szewczenko, czy inny jakiś „słowiański bard szczepowy“, wpadli gdzieś, w jakimś zwrocie, na ten sam koncept, co Mickiewicz? Albo, że nasz rdzenny, tak rodzimy i swojski wyraz „psiakrew“, który już Mickiewicz w specjalnym poemacie opiewa, ma jakieś pokrewne, szczepowe analogje z dosadnem przekleństwem pobratymców rosyjskich, czy chorwackich? Albo, że jakiś poeta słowiański ze wschodu ukradł pewne motywy słowiańskiemu poecie z zachodu, czy z południa, czy z północy? Co te wszystkie igraszki mają za wpływ na realny interes realnego państwa polskiego? Gdybyśmy jeszcze mogli liczyć na to, że cała ta „fala słowiańska“ ruszy kiedyś za nami na bój z „falą germańską“, albo z inwazją żółtej rasy, no, to byłyby jeszcze mrzonki zrozumiałe. Ale, trzeźwo rzecz biorąc, czy brat czeski ruszy z nami na Niemca lub na Moskala? Czy pomogą nam w tem zastępy serbskie, chorwackie lub bułgarskie?

Mrzonki niezrozumiałe...!

Czas więc ostatni, aby skończyć raz z tą dziecięcą naiwnością! Naród mocarstwowy, za jaki się niby uważamy, innymi probierzami winien regulować swój stosunek do poszczególnych państw i narodów. Słowianizm, germanizm, czy latynizm, to dzisiaj już tylko fikcje, z których śmieje się nawet każdy zamiatacz podłóg w biurach dyplomatycznych. To dzieciństwa, niegodne narodu, rozsiadłego „od Bałtyku do Karpat“! Dla trzeźwego obywatela, nie mówiąc już o fachowym polityku, etnologja winna być tem samem, co geologja, a nawet znacznie mniej jeszcze. Obie bowiem traktują o prahistorji, ale geologja daje nam przynajmniej węgiel, naftę, żelazo (do karabinów!), a niekiedy nawet złoto i djamenty. Etnologja zaś szczepowa nie daje nam nic, oprócz statystyki czaszek, wykazując, że i dawniej i dzisiaj niebrak wśród ludzi wielu „wodogłowców“.

Ma to wszystko zaś o tyle do czynienia z „Głosem Narodu“, że dziennik ten, jak widać, hołduje również przedpotopowej legendzie o bratnich zastępach słowiańsko - sarmackich, mających zapewne ruszyć na zachód, aby zdobywać na Germanach prastare nadłabskie siedziby słowiańskie Wilków i Obotrytów. Wiadomo zapewne pisarzom z „Głosu Narodu“, że Hamburg, to właściwie port słowiański. Tak prawią stare kroniki, a i dzisiaj jeszcze sprzedają tam słowiańskie jaja z pod Krakowa i Tarnowa. A więc...

Jakże cieszyć się muszą sprytne czeskie masony, że znalazły takich obrońców swej „idei słowiańskiej“ w polskich katolikach z pod sztandaru „Głosu Narodu“!

A na czemże gruntuje się ten dziwaczny, fantastyczny szał słowianofilski w Polsce? Gdzie jego istotne źródło? Nasza Przyszłość lubi zgłębiać do cna właśnie takie dziwne zagadnienia.

Otóż najmniejszej nie ulega wątpliwości, że dzisiejsze słowianofilstwo — od kilkudziesięciu lat wstecz — kwitnie wyłącznie na endeckiej glebie. Jest ono bowiem z ideologją i psychiką endecką najściślej związane. Od chwili, gdy myśl przewodnia naszego obozu nacjonalistycznego skłoniła się przed białym carem Wszechrosji, „naturalnym“ protektorem wszechsłowiańszczyzny — ze stolicą w Moskwie, a ekspozyturą w Pradze — musiała myśl ta ugrzęznąć integralnie w bezkrytycznem nastawieniu panslawistycznem, nie bacząc na nic. Stąd, gdzie tylko ukazuje się u nas ideologja słowianizmu, tam napewno jest endeckie podłoże, choćby nawet dany słowianofil najenergiczniej endeckości się wypierał i najdoskonalej na endeków wygadywał. Choćby nawet sam był najmocniej o tem przekonany, że nie jest endekiem. Nic mu to nie pomoże. Narkoza słowianofilska, bezmyślna, odurzająca, ogarnie go endekoidalnymi oparami i osobnik taki — czy gazeta —

dosiadłszy rumaka sarmackiego, pędzi z wolą, czy mimowoli, tam, gdzie orjentują go endecko - słowiańskie miraże.

A wiadomo — i w tem uczeni zgodni być muszą — że wobec ogromu moskiewskiego kolosa w porównaniu z maleńkimi tworami innych naszych pobratymców szczepowych, wszystkie drogi na słowiańszczyźnie wiodą do — Moskwy! Pamiętać muszą o tem w praktyce ci wszyscy, którzy sztandar słowiańszczyzny podnoszą i mają pretensje na słowianofilstwie politykę i losy narodu polskiego opierać.

Redakcja.
